

Wywiad z bratem

Julia Hartwig rozmawia z Edwardem Hartwigiem

Najpierw chciałem być malarzem. I do dziś nie potrafię powiedzieć, czy wynikało to z upodobania do pejzażu – który dotąd stanowi ulubiony temat moich zdjęć i którego ujęcia przeszły przez tyle faz od pierwszych moich prób aż do ostatnich – czy też na moją słabość do malarstwa wpłynęła fascynacja środowiskiem malarskim i jego życiem.

Pamiętam wycieczki, jakie odbywałem wraz z moim kolegą do Kazimierza nad Wisłą. Z Lublina nie było to daleko. Kazimierz był wtedy miasteczkiem z prawdziwymi domami, prawdziwymi zabytkami i prawdziwymi mieszkańcami. Dziś jest to dworzec zajezdny, przez który przepływają dziesiątki turystów. Bardzo piękny, ale na wpół martwy dla tych, którzy znali to miejsce przed wojną. Pamiętam tamtejsze chłopskie jarmarki, małe żydowskie sklepiki, dzwony bijące w kościołach, letników przyjeżdżających z całymi rodzinami i dziećmi – i przede wszystkim malarzy. Był to okres szkoły Pruszkowskiego i Bractwa Świętego Łukasza. Na ulicach porostawiane niemal co krok sztalugi, przy każdej z nich ekscentryczna postać z paletą w jednej, pędzlem w drugiej ręce. Na schodkach i rozkładanych stołkach studenci ze szkicownikami. Widywałem ich u Berensa, gdzie przychodzili na posiłki zakrapiane nie rzadko alkoholem, z zazdrością słuchałem dobiegających mnie odgłosów ich beztroskich rozmów, zachwycały mnie ich białe wymięte spodnie płócienne, kolorowe szale na szyjach i zgniecione kapelusze chroniące głowy przed słońcem. Pierwszy raz zobaczyłem ich przy stoliku, na którym palił się ogień na półmisku czy w wazie, dziś już nie wiem. Może był to poncz, może zapalono rum a naleśnikach – dla mnie ten ogień i oświetlone jego odbłaskiem wesołe twarze o ciekawym wyrazie stały się jakby symbolem czegoś odmiennego, piękniejszego od reszty świata. Wiedziałem, że często nie mieli grosza przy duszy i nieraz zmagali się z biedą, bywało, że nie starczało im na farby i płótna albo na jedzenie, ale ich sposób życia wydawał mi się najgodniejszy naśladowania. Różnice zachowań i obyczajów w różnych środowiskach społecznych były wówczas ogromne. Panowie mieszczychy potrafili jeszcze wybrać się na trawkę w lakierkach i nawet młodzi ludzie ubierali się na co dzień starannie, nie było jeszcze mowy o niczym w rodzaju dżinsów lub noszonych dziś czasem przez młodzież, nawet uniwersytecką, kombinezonach robotniczych.

Co tu dużo mówić – zapragnąłem znaleźć się w tej atmosferze sztuki i pozornej beztroski, tego

odmiennego fasonu i odmiennych trosk.

Pierwsze lekcje rysunku i malarstwa brałem u profesora Henryka Wiercińskiego. Malowałem z modelu i w plenerze. Ale, zdaje się, dość szybko zrozumiałem, że marny byłby ze mnie malarz. Mimo to do dziś zachowałem ogromną skłonność do tak zwanej cyganerii, która zresztą została już chyba tylko w literaturze i moim wspomnieniu, bo co mogłoby dziś odpowiadać dawnej cyganerii?

Twoja kariera malarska nie była długa, przypominam to sobie mgliście.

- Ożeniłem się, założyłem rodzinę. Ptak niebieski musiał teraz pomyśleć o utrzymaniu domu. Chcąc nie chcąc – otworzyłem zakład fotograficzny.

Malownicza, drewniana, bardzo obszerna buda odziedziczona po ojcu, przy ulicy Narutowicza 19 w Lublinie, ze szklanym sufitem i szklaną ścianą zasłanianą szarymi zasłonami. Było to twoje „atelier”.

- Miała w sobie ta buda jakiś klimat, coś cygańskiego: ni to dom, ni to pracownia, w środku piecyk żelazny, dużo światła – i zawsze pełno znajomych.

Teraz dopiero zdaję sobie sprawę, że ludzie jakby przeczuwali, że próbuje się tam robić coś nowego, coś odmiennego, niż w innych pracowniach fotograficznych.

- Może to i prawda. Od początku okrzyknięto mnie „artystą”. Okazało się jednak, że właśnie „artysta” jest tym człowiekiem, któremu najtrudniej będzie zadowolić klientów. Myślę, że przeciętny fotograf lubelski mniej miał na co dzień kłopotów w swojej pracy niż ja. Zajmowało mnie wówczas operowanie światłem w portrecie. Wyniki budziły często najżywsze protesty modeli. A że to nie ja płaciłem tym modelom, ale one mnie – musiałem wreszcie – choćby zgrzytając zębami – ustępować. Obwinałem ich oczywiście o brak kultury, próżność, zamiłowanie do kosmetyki fotograficznej. Dziś myślę, że byłem trochę niesprawiedliwy. W końcu nawet wielcy malarze renesansu dostosowywać się musieli do gustów swoich mecenasów, a cóż dopiero młody fotograf lubelski o nieznanym jeszcze dobrze nazwisku wykonujący zamówienia klientów.

Do Twojego zakładu przychodziło wielu ciekawych ludzi, nie tylko artystów, ale i szacownych obywateli miasta Lublina.

- Ci szacowni obywatele byli najczęściej wielkimi przyjaciółmi sztuki. Lublin miał wielu ludzi sympatyzujących z jej młodymi adeptami.

Myślisz o środowiskach skupionych w Towarzystwie Przyjaciół Lublina? Wokół muzeum, a przedtem – wokół pisma literackiego „Reflektor”? Pamiętam, że spotkałam raz u ciebie Józefa Czechowicza. Chodziłam jeszcze wówczas do gimnazjum, ale znałam jego wiersze,

i przyglądałam mu się z prawdziwym nabożeństwem.

- Tak, Czechowicz wpadał czasem na pogawędkę. Podobnie jak Gralewski, Chomicz, Makarewicz, Witkowski i wielu innych. Fotografowałem go, a i on, zdaje się przynosił jakieś własne fotograficzne próbki. Nie rozstawał się z fajką, z którą było mu bardzo do twarzy, choć stale mu gasła. Bywali u mnie również malarze lubelscy, niedoszli moi koledzy po palecie, Zenon Kononowicz, którego na pewno pamiętasz, Stanisław Filipiak, Stanisław Karamański z Kazimierza, Stanisław Michalak, Jerzy Pleśniarowicz oraz Zygmunt Kałużyński i Stanisław Gawarecki.

Zdaje się, że często zasięgano twojej fachowej rady w pierwszych fotograficznych poczynaniach. Niektórzy nawet uważali, że niepotrzebnie trwonisz czas na takie głupstwa, jak przesiadywanie w laboratorium z byle amatorem.

- Słyszę to czasem i dzisiaj. Ale ja nie uważam tego za stratę czasu ani za głupstwa. Chętnie dzielę się tym, co umiem. Staram się też w miarę możliwości nikomu nie odmawiać porady w dziedzinie, na której sam zjadłem zęby. Jestem często powoływany do jury konkursów amatorskich w Domach Kultury, mamy przecież w Polsce Federację Amatorskich Stowarzyszeń Fotograficznych i ruch amatorski jest u nas bardzo żywy. Żebyś wiedziała, jakie znaczenie ma dla tych ludzi fakt, że okazuje się im zainteresowanie. Nie ma także żadnych niechęci do wieczorów autorskich. Przyznaję natomiast, że nie znoszę zebrań administracyjnych ani czezych dyskusji pseudozawodowych. Na szczęście nie jestem do tego zmuszony. Naprezesowałem się już, nareprezentowałem, teraz uzupełniam swój dorobek.

Czy uważasz, że Lublin i środowisko lubelskie wywarły wpływ na kształtowanie się twoich losów zawodowych?

- Ogromny. Lata spędzone w Lublinie były dla mnie początkowo niełatwe, ale otrzymałem jakby pierwszy chrzest artystyczny. Jak to się mówi – poznano się na mnie. Ani przez chwilę nie cierpiałem z powodu niezrozumienia lub braku sympatii ze strony osób, które szanowałem i na których opinii mi zależało. A zetknąłem się tam z grupą ludzi nie tylko kulturalnych, wykształconych i interesujących, ale i niezwykle zacnych. Ludzie ci, na ogół starsi ode mnie, a często cieszący się ustaloną renomą osobistą i zawodową – niezwykle życzliwie potraktowali mój debiut w fotografii. Oglądano moje portrety, moje pejzaże, czekano na nie, była to publiczność chętna i nie zblazowana.

Czy zetknąłeś się z nimi już po twoich studiach w Instytucie Graficznym w Wiedniu?

- Wielu z nich poznałem przedtem. Mieszka dotąd w Lublinie sędziwy już, wielki mój przyjaciel, Wiktor Ziółkowski, uczeń Wyczółkowskiego, zaraz po wojnie dyrektor Muzeum

Lubelskiego. Człowiek ten towarzyszył zawsze wszystkiemu, co się w Lublinie w dziedzinie kulturalnej działo i organizowało. Sam raczej materialnie niezapobiegliwy i małych potrzeb, był zawsze moralnym opiekunem poetów i malarzy. Znał ich wszystkie wiersze i obrazy, był zamięłowanym bibliofilem i – jak się okazało miłośnikiem fotografii.

Masz jego piękny i bardzo charakterystyczny portret: jakby chuda twarz mnicha z obrazów Ribeiry. Spotkałam go kiedyś, jeszcze jako uczennica, z numerem naszego uczniowskiego pisma „W słońce”. Niestety, nie wyszedł z tego nowy „Reflektor”, z następcami Czechowicza.

- Wiktor Ziółkowski bardzo dokładnie śledził moją pracę. Miałem wystawioną na ulicy oszkloną gablotę ze zdjęciami i zmieniałem ją dosyć często, uważając ją za małą ekspozycję moich prac. Prawdę mówiąc, zmieniałem ją na ogół z myślą o nim, o tym, co mi powie. Zawsze mówił szczerze swoje zdanie. I że świetnie, i że okropne. Bardzo go za to szanowałem.

Pan Wiktor był również zamięłowanym etnografem. Chciał mnie zainteresować sztuką Lubelszczyzny. Wskazywał jej ośrodki, zwracał moją uwagę na architekturę wiejską i sakralną Lubelszczyzny, starał się mojemu upodobaniu do pejzażu nadać ogólniejsze tło kulturowe i obyczajowe.

W Lublinie był liczna grupa ludzi o podobnych do twoich zamięłowaniach.

- Tak, byli to przedstawiciele najrozmaitszych dziedzin, często bardzo wybitni. Znajdowali się wśród nich profesor Gerard Ciołek i Stefan Du Château, obaj świetni architekci i dobrzy fotografowie, zresztą moi koledzy z gimnazjum; konserwator lubelski i znakomity znawca architektury i zabytków lubelskich, Zygmunt Gawarecki, też kolega szkolny; i inżynier architekt Tadeusz Witkowski, który wiele podróżował, co nie było tak powszechne w świecie ówczesnym jak dziś, i przywoził z tych podróży ciekawe relacje, którymi się z nami dzielił.

Nieco później zbliżyłem się ze świetnym pianistą Władysławem Kędrą i poznałem młodziutkiego wówczas, a znakomitego dziś dyrygenta i kompozytora, Andrzeja Markowskiego, lublinianina. Byli wśród nich wreszcie ludzie nie zajmujący się bezpośrednio sztuką, ale żywo nią zainteresowani: inżynier Marczewski, architekt i doskonały fotograf, magister Stanisław Magierski, mecenas Stanisław Steliński. Ich zebrania towarzyskie obracały się wokół muzyki, wystaw malarskich i własnych odkryć regionalnych. Rozmowy te były pouczające, zwłaszcza dla kogoś tak jeszcze nie przetartego jak ja wówczas.

Staraniem tego środowiska powstało Lubelskie Towarzystwo Fotograficzne, które nawiązało stosunki z innymi podobnymi towarzystwami w Polsce i najwybitniejszymi fotografami.

Patronował im mistrz tego okresu, Jan Bułhak. Towarzystwo budziło zainteresowania starym Lublinem, folklorem, jeżdżono do miejscowości, gdzie folklor się zachował. Na przykład do Krzczonowa: tamtejsi chłopci nosili jeszcze, często na co dzień, a zawsze od święta, brązowe, wełniane sukmany i graniaste czapki.

Skoro mowa o krajoznawstwie: był taki doktor Orłowski w Warszawie, zasłużony działacz polskiej turystyki, pracujący w PTTK...

Pamiętam, że dostawałeś od niego duże koperty wypchane listami i maszynopisami.

- Właśnie. Były to opisy pieszych wędrówek, jakie odbywał po Polsce z grupą równie jak on zapalonych wędrowców. Albo harmonogramy planowanych wypraw. Wszystko tam było obliczone co do godziny, wskazane połączenia autobusowe, noclegi, opisane ścieżki i szlaki. Kilkakrotnie przyłączałem się do tych wycieczek bodaj na dwa, trzy dni, wiedziałem, że znajdę jej uczestników oznaczonego dnia w oznaczonym dokładnie miejscu, na kwaterze u chłopca, leśniczego lub księdza.

Doktorowi Orłowskiemu podobały się moje pejzaże, które zauważył na jakiejś wystawie czy w jakimś piśmie, przypadły mu do gustu i serca, i postanowił pokazać mi zakątki, których nie znałem, jak najwięcej z tego co sam widział i czym się entuzjastycznie umiał zachwycać.

Pokładano we mnie wówczas tyle nadziei i spodziewań, że wstyd byłoby, gdybym je zawiódł.

Potem takie wyprawy urządzałeś już na własną rękę.

- Tak. Zamiłowania i potrzeby zawodowej. Każdy człowiek fotografujący wie, ile poszukiwań i czasem powrotów w to samo miejsce – w różnych warunkach, w różnym oświetleniu i w różnych porach roku – kosztuje nieraz jedno zdjęcie. Zdarzają się, oczywiście, i szczęśliwe przypadki, znakomite kompozycje, które podsuwają się niejako same, ale to naprawdę rzadkie.

Masz wiele zdjęć z podróży zagranicznych, również w tym albumie. Czy fotografowanie nie przeszkadza Ci w zwiedzaniu i poznawaniu?

- Odpowiem Ci na to: bardziej zazwyczaj żałowałem, że nie mam przy sobie aparatu, niż że go mam. Porzucenie obiektu lub sytuacji, które wydają mi się ciekawe – bez sfotografowania ich – jest dla mnie najgorszym wspomnieniem, niemal śni mi się to po nocach. Wielokrotnie jednak zdjęcia opóźniały mnie w zamysłach krajoznawczych, zatrzymywały w jednym miejscu, co gorsza, zatrzymywały innych ludzi, jeśli byłem w licznym towarzystwie. Czuję konieczność notowania aparatem.

Mimo, że niezwykłość mnie pociąga i lubię tematy nowe, chętnie jednak wracam do rzeczy znanych i bliskich. Wiem, że najpiękniejszy nawet fotogram pejzażu, spoza strefy dobrze mi

znajomej, z innego klimatu i odległe mi kultury nigdy nie będzie wynikiem takiego zżycia się z atmosferą i takiego zrozumienia, jakie mam dla krajobrazów najbliższych, zwłaszcza Lubelszczyzny i południowych części Polski, do których bezustannie powracam. Nie muszę zresztą wyjeżdżać w poszukiwaniu tematów. Gonią mnie one również w Warszawie, która stała się dla mnie od lat drugim miastem rodzinnym. Zaadoptowałem się tu. Patrzę na to miasto jak rodowity warszawiak. I takie je też fotografuję.